



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIE T.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie;

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

## W PŁY W KOBIE T Y

### NA ZDROWIE SPOŁECZEŃSTWA.

Jak ważnym jest wpływ kobiety na zdrowie społeczeństwa dowiodła Angielka, należąca do sfer wyższej szlachty, miss Florencia Nigthingale, dziś żyjąca i znana, wielbiona tak nie tylko w ojczyźnie swojej, że ludzie już za życia czeją ją jak świętą, bo jak święta koi cierpienia, ratuje życie i broni od kalectwa setki nieszczęśliwych, rozszerzając obok tego tę wielkiego znaczenia wiedzę: jak wieść życie, aby utrzymać zdrowie i tę zdolność do pracy, która się z tem łączy, stanowi o doli i niedoli rodzin. Dzieło jej: „Notes of Hospital“, uznane przez zarząd lekarski Anglii za książkę użytku publicznego, przyniosło jej ten zaszczyt, że królowa Wiktorya podziękowała jej za nie w liście własnoręcznie skreślonym, nazywając ją przytem dobrą córką swego kraju.

Gdy w r. 1852 ukazanie się cholery rzuciło trwogę na całą Europę, ona, w kilka lat później przyzwawszy sobie do pomocy kółko kobiet dobrej woli, zawiązała stowarzyszenie „Ladies sanitary Association“, mające na celu moralny i materyalny dobrobyt klas ludowych. Trzydzieści cztery lat temu, gdy prawa higieny nie były tak uznawane, jak obecnie, nawet przez lekarzy mężczyzn, ona nawoływała do rozszerzania wiadomości z tego zakresu, dowodząc, że żadne przepisy lekarzy na nie się nie zdadzą i będą niedbale a często opacznie wykonywane, jeżeli matki rodzin rozumieć ich nie będą na zasadzie pewnej rozszerzonej wiedzy o warunkach zdrowotności. Wziąwszy się też gorliwie do pracy, ułożyła z różnych dzieł lekarskich

zebrane przepisy „O utrzymaniu zdrowia“, „Pielegnowanie zdrowia dzieci“, które kosztem własnym wydała w 32,000 tak tanich egzemplarzy, że nie było tu odliczonym na jej korzyść, i walczyła tak niezmeżona z brakiem wiadomości, z brakiem energii matek, nie pragnąc nigdy odpoczynku.

Kiedy poeta lub filozof poświęca tak życie, aby przelać ogień swoich w serca słuchaczy, unosi go zapał; wielkie idee, które wygłasza, porywają go za sobą, tu zaś była to ciągła praca mrówcza w ciasnym kółku codziennego życia zamknięta, jak dowodzą tytuły jej broszurek: „Znaczenie świeżego powietrza“, „Znaczenie posiłnego pożywienia“, „Suknia jako okrycie ciała“, „Suknia i próżność“, „Wybór mieszkania“. A nie było to głosem wołającego na puszczy: nie tylko matki rodzin poczęły zwracać więcej uwagi na to, o czem poprzednio nie pomyślały nigdy, ale filantropki, działające pod natężeniem uczuć miłosierdzia, dodawały tu do jałmużny grosza — jałmużnę rozświecenia pojęć o wychowaniu higienicznym, o potrzebie zwracania uwagi na warunki zdrowotności mieszkań, pożywienia. Wskutek tego liczba egzemplarzy pism miss Nathingale mnożyła się tak, że w drugim wydaniu wyszło 90,000 egzemplarzy, sprzedawanych taniej, niż po groszu, między ludem wsi i miast, a dla szkółek, dla szpitali, zakładów dobroczynnych, dla bibliotek podróżujących, to jest mieszczących się na wózkach i jeżdżących od gminy do gminy, wydało ich w roku bieżącym dwa miliony egzemplarzy. Nie poprzestano przecież na tem, i panie należące do stowarzyszenia Ladies Sanitary Association poczęły mieszać w fabrycznych dzielnicach miast odczyty o sposobach utrzymania zdrowia, o gospodarstwie domowym w różnych jego gałęziach. Z czasem Towarzystwo wytworzyło związki korporacyjne dla rozmaitych w zakresie tym potrzeb i obowiązków, jak: „Piecza kobiety nad zdrowiem rodziny“, „Wartość posiłnej żywności“, „Wa-

runki dobrego pomieszkania“, „Odpowiedzialność żony i matki co do rozwoju uczuć i skłonności rodziny“.

Każdy związek taki, działając na otoczenie według przyjętego na siebie zadania, odczuwał zarazem wpływy związków innych, i wytworzyła się jakoby wzajemna nauka uczeiwego, użytecznie wiedzionego życia. Obok tego stowarzyszone poczęły odwiedzać ludność ubogą w jej mieszkaniach, rozdając bezpłatnie mydło, sodę i tym podobne środki utrzymania porządku; zajęły się tem, aby okna nie były zbyt małe i dawały przystęp dla świeżego powietrza, a utworzono też wypożyczalnię książek, przynoszonych do mieszkań przez panie stowarzyszone dla tego, aby coś o tych książkach powiedzieć było można, zwrócić uwagę na przewodnią myśl autora. Z takim samym zamiarem stowarzyszone przynoszą same lekarstwa, których działanie objaśniają, przynoszą artykuły żywności, odzież. Jeden z takich związków zajął się tem, aby dziatwa uboga, uczęszczająca do szkół, otrzymywała w nich obiad, co skłaniało niejedną ubogą matkę do posyłania tam dziecka, a pomyślano też o wpływie świeżego powietrza na organizm i urządzono przechadzki zbiorowe do ogrodów, w pole, poza miasto.

Urządzono dla dziewcząt jakoby szkołę praktycznego życia, w której objaśniają je, czem są dla zdrowia pokarmy, dodając sposoby ich przyrządzania ze względu na wymagania higieny, i biorąc wszystko razem, stowarzyszenie to należy do rzędu najpożyteczniejszych nie tylko w Anglii. Przecież początkowo trzeba było walczyć ciężko z nawykami, z przesądami, które brak wykształcenia wyradza; ale to, co jest prawdziwie pożytecznym dla człowieka, co go uczy żyć dobrze, co myśl jego rozświeca i szersze widnokręgi życia tego ukazuje, zawsze bierze górę nad ciemnotą i apatyą, jaka się z niej rodzi. Obecnie biuro stowarzyszenia jest zawsze obleżone przez osoby, które pracy, oświaty w niem szukają;

przybywa też wciąż stowarzyszonych, między którymi mieści się księżna Wali, księżna Battenberska, księżna Szlezwig-Holsztyńska i wiele pań ze sfer społeczeństwa wysokich. Księżna Wali ma serce dobre i pomyślała też, że trzeba czasem człowiekowi rozrywki, zabawy jakiejś, jak roślinie słońca; jej też było pomysłem, aby przy szpitalu kobiet suchotnic mieścił się teatrzyk, na którego scenie dawane przedstawienia rozweselałyby skazane na śmierć biedaczki, darząc je choć chwilowem zapomnieniem wyroku, przez los wydanego.

Sekretarką stowarzyszenia jest miss Róża Adams, poświęcona wyłącznie uczynom dobroczynnym. Pamiętając o tem, że w miastach prowincjonalnych oświecenie unyślu sfer pracujących nie znajduje takich środków pomocy, jakimi można rozporządzać w Londynie, zrobiła miss wycieczkę do jednego z najbardziej fabrycznych miast Anglii, Birminghamu, gdzie wygłosiła bardzo pożyteczny, szlachetnie pomyślany odczyt: „Geniusz dobra“, w którym wykazała, że geniuszem tym stać się może zawsze dla rodziny kobieta, żona i matka. Tam gdzie ciężka praca na chleb każe się przygarbić plecom, łatwo jest człowiekowi popaść w ten gruby realizm, który żąda jedynie zadowolenia potrzeb materialnych; kobieta powinna też być tu aniołem stróżem mężczyzny i z miłości, jaka łączy ich serca, wytworzyć tarczę, od której odbijałyby się te pokusy niskiego używania.

Stowarzyszenie liczy między członkami M-rs Priestley, z rodu uczonego przyrodnika, wykształconą też wysoko w tym kierunku, która oddała się całkowicie kreśleniu przystępnych dla umysłu ludu traktacików przyrodniczych. A nietylko ona poświęca tu bezinteresownie pióro swoje; jedna z pań lekarzek napisała: „Zadanie młodej matki“, „Jak długo można być piękną i silną.“ Oprócz tego stowarzyszenie wydało wiele bezimiennych książeczek z tego zakresu, między którymi mieści się bardzo przystępnie napisana, przecieź na wyższej wiedzy lekarskiej oparta, broszura: „Niedostrzegalne niebezpieczeństwo dla zdrowia i życia ludzkiego.“ Wykłady, w rozmaitych, ze zdrowiem człowieka łączących się przedmiotach, wygłaszane przez kobiety w różnych dzielnicach Londynu, ściągają znaczną liczbę słuchaczy, pań i panien młodych, szczególnie ze sfer ziemiańskich. a to w tym celu, aby, obeznane z przedmiotem, mogły oddziaływać pożytecznie na uzdrowotnienie wsi, i umiały w razie wypadków gwałtownych dać choremu pomoc pierwszą.

M. I.

# BEZ WOLI

POWIEŚĆ

przez

WANDE GROT BĘCZKOWSKĄ.

(Dalszy ciąg).

XII.

Pani Klotylda Bielowska postanowiła zimę przepędzić w Paryżu. Przez całe lato — kąpała się w morzu, ale morze rozkołysało jej nerwy, zamiast je uleczyć. Paryż miał wpłynąć dodatnio na kwaśny humor egzaltowanej damy, zawsze i wszędzie swoje „ja“ mającej na celu.

Mąż proponował perswadować; jemu projekt ten nie uśmiechał się bynajmniej.

— Ale moja duszyczko — zaczyna nieśmiało. — Jakże to będzie? Cóż zrobimy z Halą? Chyba pojedą po nią?

Pani Klotylda omdlewające spojrzenie zwróciła na męża.

— Jesteś, jak widzę, bardzo o mnie troskliwym — rzekła z miną męczennicy. — Chcesz przywieźć Halinę, a temsamem zmusić mię do otwarcia salonów i wprowadzenia jej w świat. Cóż w takim razie stanie się z moją kuracją? Gdybym ją trzymała w domu, okrzyczanoby mnie jako wyrodną matkę, bez względu na moje nieszczęśliwe nerwy.

— No, ale coż z nią zrobić wreszcie? — powtarza uparcie Bielowski. — Nasza jedynaczka ma też niejakię prawa. W domu sama siedzieć nie będzie. Chyba zostawię ją u Kamienieckiej, a ja wrócę do domu gospodarować. Co prawda, mam już dosyć i morza i całej tej podróży.

Pani Klotylda mdlejące oczy podniosła na męża.

— Jakiś ty dobry, *mon cher* — rzekła czule. — Mnie istotnie odpoczynku potrzeba. Hala jeszcze młoda, poczekać może. W Paryżu mieszka Grodowska, owdowiała niedawno: przy niej zamieszkać. Mam zresztą Elżbietę, zna się już na mojej chorobie o tyle, że mi dogodzić potrafi.

Usiadła obok męża i pogłaskała go.

P. Bielowski ucałował pieczęcącą go rączkę.

— Kiedyż wyjedziemy, Kloteczko? — zapytał tklawie, patrząc na piękną twarz żony.

— Nie mamy powodu zwlekać — odparła. — Odwieszysz mię do Paryża i zaraz potem możesz wracać do domu. Jestem pewną, że śnią ci się codziennie twoje gorzelnie, młyny, propinacye *et qu'en sais-je moi?*

Uśmiechnęła się dobrotliwie. P. Bielowski wąsa pokręcił.

— A więc rzecz ułożona — rzekł. — Dziś każe pakować, jutro możemy wyjechać. Pani moja odświeży mi się znów w Paryżu, rozweseli i wróci ci zdrowia jak rybka. Ale wiesz co, Kloteczko, dali Bóg ty codziennie piękniejsza jesteś — rzekł, przyglądając się żonie. — Hala śliczra, ale to już nie to — o! nie to.

— Nie praw-że mi komplementów, *mon ange*, — odpowiada Klotylda, całując męża. — Wiem, że mnie kochasz i wdzięczną ci jestem. Na święta Wielkanocne będę już z wami w Bielowcach. Możesz w imieniu mojem zawczasu zaprosić Kamienieckich; wiem, że ci to robi przyjemność.

— O to, to właśnie, jaki to prawdziwie kobiecy instynkt posiada moja żoneczka! — zawołał mąż uradowany. — Wiedziałas czem mnie ucieszyć, a Hala jaka będzie rada! Ona przepada za ciotką!

Rozeszli się w najlepszej zgodzie; w parę dni potem pociąg pośpieszny powiózł ich do Paryża.

Bielowski zabawił tam dni kilka, zabrał dla Haliny mnóstwo fatalaszków, których jej matka naku-powała, i uciekł, nie mogąc znieść tego gwaru, turkotu i nieustającej wrzawy.

— Ja-bym tu oszalał, jak mi honor miły! — skarżył się żonie. — Ani jednej nocy nie spałem!...

— To też nie czyn dla mnie ofiary i wyjeżdżaj, — radziła pani Klotylda, — ja ci tego za złe nie wezmę.

Odjechał i wkrótce potem, ledwo dzień zabawiwszy w Bielowcach, zjawił się u Kamienieckich niespodzianie.

Halina, która w sekrecie tęskniła bardzo za ojcem, na razie osłupiała z radości.

— Tatku, tatku! — wołała. — Czy to być może? Czy to nie sen? Więc mam mojego tatusia i zostaję w Kamieńcach! Mamie kuracja w Paryżu z pewnością pomoże i wszyscy będziemy szczęśliwi!

Pani Kamieniecka, serdecznie rada gościowi, zwróciła się do Haliny:

— Pomyśl-no, dziecko, co ojczulek jeść będzie. Może zadysponujesz Woźniczkiej.

Wybiegła natychmiast; eleganckie lando Rolskiego zatrzymało się jednocześnie przede dworem.

— Ojczulek lubi śmietaną dobrze ubitą, ale z niewielką ilością cukru — usłyszał, wchodząc do ganku, głos Haliny, rozmawiającej z Woźniczką.

— Może Woźnia upiec każe kucharzowi parę kuropatw... a po podróży nie zaszkodziłaby filiżanka bulionu.

Rolski stanął przed nią zdziwiony.

— Sługa pokorny — rzekł, kłaniając się. — Słyszę, ale nie rozumiem... Śmietana, kuropatwy, ojczulek... Co to wszystko znaczy? Racz pani zaspokoić moją ciekawość.

Szafirowe oczy Haliny spojrzały na niego, roziskrzone radością.

— Jakto? pan nie nie wiesz? — woła. — Ojczulek przyjechał. Drogi, nieoceniony ojczulek! Mama przepędza zimę w Paryżu, ja zostaję u cioci; ojczulek będzie do nas często przyjeżdżał... Ach, jak to będzie rozkosznie!

Czarne oczy Rolskiego zaswieciły blaskiem niewymownej radości. Gdyby nie obecność Woźniczkiej, byłby chyba ukląkł przed Halą.

— Pan nie nie mówi? — pyta zgorzozona dziewczeczka. — Ani się pan dziwi... ani cieszy... a przecieź na długie zimowe wieczory mogę wam się przydać!

Przymrużyła figlarnie oczęta.

— Będziemy grywali w loteryjkę — szepnęła, uśmiechając się rozkosznie.

Rolski głowę stracił. Ile on już gorzkich chwil spędził, rozmyślając nad tem, jak głucho i pusto będzie po wyjeździe Haliny!

— Niechaj dobroczynne bóstwa anoszą się nad Paryżem — rzekł, usiłując wpaść w jej ton żartobliwy. — Niechaj mateczce pani dadzą jaknajwiększą sumę przyjemnych wrażeń! Winniśmy jej głęboką wdzięczność, że nam panią zostawia.

Jakał się... Hala śmiała się wesoło.

— O, tak to rozumiem — rzekła. — Mogłoby być nie tak sztucznie powiedziane, ale przypuszczam, że szczerze, więc jestem zadowolona... Pójdźmy! Muszę pana zapoznać z ojczulkim. Z góry wiem, że ojczulek pana polubi...

Lucyan stoi, zapatrzony w nią, jak w tęczę.

— Zkąd-że ta pewność? — pyta drżącym ze wzruszenia głosem.

— Może właśnie będzie przeciwnie — uśmiechnęła się figlarnie. — Zobaczymy! Proszę dalej...

Pobiegła przodem; Rolski szedł za nią jak student, z bijącym mocno sercem, wzruszony, rozmierzony, a szczęśliwy jak nigdy.

— Nasza szczebiotka, prowadzi nowego jeńca, którego tak samo, jak i nas wszystkich, wzięła w niewolę — rzekł Stanisław, pokazując wchodzących wujowi.

Halina przedstawiła ojeu Rolskiego. Bielowski rozpromienionym wzrokiem spojrzął na córkę. Tak się stęsknił za nią! — i ożywiona jej twarzyczka, zdrowe rumieńce, radowały mu serce.

— Dobrze tu było u szanownej kuzyneczki, mojej dziewczynie — mówi, całując ręce Kamienieckiej. — Urosła, wypiękniała; matka jej nie pozna. Chciałem cię na karnawał sprowadzić koniecznie do Paryża i otworzyć salony — mówi dalej, figlarnie mrugając ku Halinie, — ale matka się oparła, że jeszcze rok możesz poczekać. Cóż ty na to? Chciałoby się pewno motylkowi na szerszy świat wyfrunąć. Co?

— Wcale nie — odparło dziewczę. — Bardzo mi tak dobrze i do zabaw wcale nie tęsknię.

— Strasznie cię tu rozpiescili, jak widzę, — uśmiechnął się ojciec. — Tylko się nie pozwólcie tyranizować tej małej tyrance.

Zwrócił się do Rolskiego.

— Z ojcem pana kolegowaliśmy w uniwersytecie — rzekł uprzejmie. — Bardzo miłe zachowałem o nim wspomnienie.

Zagawędzili się dopóźna. Halina dawno już nie śniła tak rozkosznie, jak tej nocy.

XIII.

Paryż... stolica przepychu, zabaw i rozpusty! Lila nim oczarowana. W jednej z arystokratycznych dzielnic miasta maleńki pałacyk zajęła

pani Dolewska, twierdząc, że to będzie praktyczniej, aniżeli mieszkać w hotelu.

Co-by o tem sądził Kwapiewicz, nie chciała myśleć. Kilka najpiękniejszych włók łąk nadrzecznych i trzechetnia renta dzierzawna z Rumszan poświęcone na ten cel zostały. Co będzie dalej? nie obchodziło jej, byle wystarczyło na teraz. Hrabia, jako eicerone, wywiązywał się z zadania znakomicie. Woził panie na spacer, do galeryi, teatrów, a zachwył, jaki ogólnie wywoływała uroda Lili, pochlebiał mu niewymownie.

— Jednak to przyjemnie mieć piękną żonę—myślał, wodząc oczyma za Lilią, gdy tłumy ciągnęła za sobą. — Ależ ta uroda nawet w Paryżu nie zgasła! Ha! kto wie, czy się nie namyśli?

Hrabia, jakkolwiek zarozumiały, miał jednak sposobność przekonać się niejednokrotnie, że nie bardzo może wybierać. Brzydota jego była prawie przysłowiową. Małego wzrostu, bardzo szczupły, twarz miał o jakichś ostrych kantach, kości policzkowe wystające, nos spłaszczony; oczy głęboko osadzone, brzydkie kolorem i wyrazem. Nad wklęsłym czołem, zwiślało się kilka pasemek żółtych włosów, starannie ufrizowanych. Kępka ich osiadła na wystającej brodzie, rzadki wąs okalał bezbarwne usta; hrabia upadał przytem lekko na jedną nogę, co go niezmiernie szpeciło, bo chciał to czynić z wdziękiem, a robił z przesadą, i mała jego figurka gorzej jeszcze na tem wychodziła. Nie lubiono go ogólnie, tolerowano tylko dla olbrzymiego majątku i nazwiska, hołdowano nawet głupocie, bo tak przecież zwykle bywa.

Lila z początku wstrząsała się, gdy dotknął jej ręki, uciekała od jego spojrzeń; ale bywały też chwile, kiedy ciągnęła go sama, patrzyła mu w oczy drażniąc i obiecywała dużo. Dlaczego? Bo lubiła holdy i oslepiała ją bogactwo, hrabiowska korona,—chciała, aby ją wszyscy bez wyjątku wielbili. Miała szczególne upodobanie badać wrażenie, jakie wywierała. O, znała się na tem doskonale! Czystą miłości Stanisława od zmysłowej miłości Zenona, lekką miłośćką salonowego światowca od namiętności niszczącej jak huragan, umiała odróżnić odrazu. Dla każdej ze swych ofiar miała odpowiedni wyraz oczu, uśmiech, słówko, niby niewinnie rzucone, które rozpałało krew płomieniem lub ścinało ją lodem. Hrabia w takich chwilach korzył się przed nią, pokorny jak dziecko. Ślimaczka jego naturę podsycała walka. Syt kupowanych za pieniądze pieszczot, pragnął czegoś innego; czegoś, coby go obudziło i o przesyce zapomnieć mu kazało. Jakkolwiek Lili nie kochał, bo nie kochał nikogo prócz siebie, nie wyłączało to jednak namiętnego pragnienia posiadania jej. Irrytował się niejednokrotnie, że inaczej zdobyć jej nie może, niż za pośrednictwem księdza i ołtarza, kładąc u jej stóp hrabiowską koronę i bogactwa.

— Zdecydował się wreszcie i na to. Dopiero to będą mi zazdrości! — myślał z rozkoszą i to może było najsilniejszym bodźcem. Zawisł do ludzi, którzy przewyższali go powierzchownymi przymiotami, głębokie korzenie zapuściła w jego sercu. Gdyby mógł, to-by każdą piękną twarz drapał, a że to było niemożliwe, chętnie ludziom dokuczał, kłut bogactwem, deptał pogardą.

— O tak! będą mi zazdrości! — powtarzał niejednokrotnie i w kilka tygodni po przybyciu do Paryża, umiejętnie wciągnięty przez babkę i ludzony przez wnuczkę—oświadczył się.

Babka odetchnęła. Lila nie szczędziła uśmiechów i słodkich słówek, dopóki nie włożył na jej palec zaręczynowego pierścienia z brylantową koroną. Bawił ją przepych, jakim ją narzeczony otoczył, bawiło uwielbienie, jakie wzbudzała. Hrabia niczego nie szczędził.

*Belle comtesse* — zwracała powszechną uwagę, i to mile łechtało jego dumę. Zazdroszczono mu, dopytywano się, wieszano... Tryumf jego był zupełny.

Lila, czując swoją przewagę, rozkaprysiła się do niemożliwości. Babka formalnie rady sobie z nią dać nie mogła, hrabia atoli wybaczal pozornie, mówiąc sobie na pociechę:

— Zobaczymy, jak to piękna pani później kaprysić będzie... odbiję ja to sówicie!

Pewnego wieczora, jakoś w miesiąc po zaręczynach, pojechali oboje do Teatru Opery. Po skończeniu widowiska Lila, wsparta na ramieniu hrabiego, posuwała się naprzód majestatycznie, ścigana spojrzem i wykrzykami zachwytu. Złotawo-żółty atlas abierał ją po królewsku, w ciemnych włosach świeciła brylantowa gwiazda, dar narzeczonego. Prześliczna była. Hrabia był uszczęśliwiony. On sam, oczów od niej odebrać nie mógł. Przy wyjściu otulił ją elegancym burnusem, zarzucił, jej na głowę koronkową chusteczkę, a przytem wszystkiemu ręce mu drżały, zapach jej włosów go odurzał. Karetą potoczyła się szybko, hrabia pochylił się ku Lili. Zasunięta w głąb, z przymkniętymi oczami, smętna jakaś czy rozmarzona, wydała mu się ponętniejszą, niż zwykle.

Namiętność ogarniać go poczęła. Jeszcze ani razu nie pozwoliła mu pocałować się, a byli już zaręczeni od miesiąca.

Pod pozorem otulania jej zaczął poprawiać burnus pod szyją zapięty i dotknął alabastrowych ramion. Lekko, pieszczotliwie, przesunął rękę po białem ciele, gdy nagle spotkał się z szeroko otwartymi oczami Lili. Patrzyły na niego z przerażeniem i pogardą, a jednocześnie Lila, drżąc cała, usuwała się w przeciwny kąt karety.

— Pani moja! — szeptał przytłumionym głosem. Czemu uciekaś przedemną? Ja cię tak kocham!... Tyś moja królową... bóstwem, przed którym chylę się w pokorze.

Pochwyił jej ręce i tulił w uścisku. Milezała. Dreszcz wstrząsał jej ciałem; hrabia patrzył na nią z rozkoszą.

— Jest temperamencik — szepnął. — O! jest! porywająca istota!

Ani przypuszczał, że drżała ze wstrętu i obrzydzenia.

— Królowo moja — szeptał znowu. Życie będzie dla nas rajem, gdy razem złączeni, ucieknemy pod lazurowe niebo Włoch, sami, tylko sami! Poznasz dopiero co to miłość, co szczęście!...

Pochylił się. Lila gorąco jego oddech poczuła na swej twarzy. Szarpnęła koronkową chusteczkę i zasłoniła nią twarz... Hrabia stawał się coraz natarczywszym. Owładnęła nim namiętność do tego stopnia, że nie zdawał sobie sprawy z natury uczuć, jakie wzbudzał w narzeczonej. Drżącemi, rozpalonemi palcami, podjął koronkę i przyłgnął ustami do pobladych ust Lili.

Rzuciła się jak lwica. Odepchnęła go tak silnie, że głową uderzył o ramę okna. Szyba przytem wstrząśnieniu opadła i prąd zimnego powietrza owionął twarz hrabiego. Odbyło się to wszystko tak szybko, że hrabia prawie nie miał zdać sobie sprawy z tego, co się stało.

— Co to jest? — pyta. — Co to takiego?...

— Nie wiem — odpowiada Lila. — Drzemałam... coś mi się śniło... Nie pamiętam.

— Aha! — Hrabia odzyskał już swobodę. — Spałaś więc, uroczą moja królowo, i ja cię zbudziłem... Spłoszyłem sny tęczone. O czemże śniło moje bóstwo?

Cheiał ją przygarnąć ku sobie; odsunęła się gwałtownie.

— Proszę cię, hrabio, rzekła z odcieniem dumy i zniecierpliwienia — nie zapominaj, że jesteśmy dopiero zaręczeni.

Ostatnie wyrazy zaakcentowała dobitnie.

— Więc kiedyż królowa moja oznaczy dzień ślubu? — pyta, piniąc się ze złości hrabia.

— Nie wiem — szepnęła obojętnie. — Nie wiem!...

Po powrocie do domu rozmówił się hrabia z p. Dolewską otwarcie.

— Czy nie mogłabyś pani wpłynąć na to, by panna Lila namyśliła się wreszcie i zdecydowała oznaczyć dzień ślubu? Przykrzą mi się nieco jej kaprysy...

Dolewska westchnęła.

— Sprobuję — rzekła. — I ja-byłm chciała...

W kilkanaście dni potem babka weszła do jej pokoju.

— Gdzie jesteś, Lili, i dlaczego tu tak ciemno? — pyta. — Hrabia przyjechał... Czeka już od godziny.

— Niech czeka. Ma ciebie, babciu, to mu powinno wystarczyć.

Roześmiała się; babka się skrzywiła.

— Niesmaczny żart, Lili, — rzekła podrażniona — proszę cię nie grymas!... Zapominasz, że jesteś narzeczona i że samemu tylko kaprysami karmisz swego narzeczonego. Anielskiej cierpliwości to człowiek, jeżeli dotąd z tobą wytrzymał!

Jasne fale księżycowego światła zalewają buduar Lili i oświecają ją samą, spoczywającą na ottomanie. Ostatnie słowa babki wywołały na jej уста drwiący uśmiech.

— Może babcia zadzwoni o światło — rzekła, nie zmieniając pozy.

Podano światło; babka załamała ręce.

— Jakto? Tyś jeszcze nie ubrana! — zawołała zdumiona.

— Nie drzemałabym chyba w balowej toalecie, — roześmiała się Lila. — Nie mam zamiaru być dziś na balu.

— Co? — pani Dolewska załamała ręce. — Ależ... Nie, to nie do wytrzymania — woła oburzona. — Byłaś zawsze kapryśną, ale tu w Paryżu jesteś nie do zniesienia. Wiesz o tem aż nadto dobrze, ile trudów poniósł hrabia, nim dostał bilety na ów bal, tak gorąco przez ciebie pożądany. I gdy je dostał nareszcie, ty najspokojniej powiadasz, że nie jedziesz. Czy mnie słuch myli?

— Bynajmniej.

Lila podniosła się z kanapki i ziewnęła.

Ach jakie nudy, jakie nudy! — szepnęła.

Babka stanęła przed nią.

— Lili, dość już tego! — zawołała ostro. — Zastanów się, co czynisz. Zniechęcisz wreszcie hrabiego i...

— I?... — Oczy Lili z wyrazem niepojętej dumy spoczęły na twarzy babki. — I co, babciu? — spytała.

— Porzuci cię — dodała p. Dolewska z głośnym gniewem.

— Aa! — uśmiech ironiczny był odpowiedzią Lili. Odwróciła się, wzrok jej padł na wspaniałe krzew kwitnącej kamelii. Powoli, jakby z namysłem, zaczęła obrywać białe-różowe kwiaty i oskubywać listki.

Babka schwyła ją za rękę.

— Co robisz, Lili?... — krzyknęła przerażona. — Czyż to nie szkoda? Zapomniałaś chyba, ile hrabia za te piękne kwiaty zapłacił!...

— Pamiętam — odparła chłodno Lila i śmiejąc się, oberwała wszystkie i rzuciła na dywan.

— Jaka ty masz tragiczną minę, babciu! — rzekła, przyglądając się pani Dolewskiej. — Przecież to tylko kwiaty!...

— Ty-byś tak ze wszystkiemu zrobiła, gdyby ci przyszła fantazyja — rzekła babka ze smutkiem. — O Lili, Lili! srogo mnie karzesz za moją słabość dla ciebie!

Lila białą rączkę przesunęła pieszczotliwie po twarzy babki. Była to ulubiona jej pieszczota. Śmiała się przytem, pytając babki figlarnie: czy to być może, aby ta pomarszczona, sfałdowana twarz, była niegdyś gładką i świeżą?

— Nie mogę temu wierzyć, babciu — przekomarzyła się — nie mogę uwierzyć. Dziadek miał chyba różowe okulary, gdy się żenił.

Dziś ani żart, ani pieszczota nie rozchmurzyły czoła babki. Nabrała jednak otuchy, mając przed sobą uśmiechnioną twarz wnuczki.

— Moja Lili! — zaczęła — ubierz się prędko i chodź do salonu. Co tam sobie ten biedny hrabia myśli?... Chodź, proszę cię!...

— Babuniu, nie męcz mnie — odparła, pieszcząc ją, Lila. — Nie mam ochoty widzieć dziś hrabiego. Zmęczona jestem, położę się, wezmę jaką książkę... Moja babciu, dość już o tem — dodała szybko, pocałunkiem zamykając usta babce. — Babunia więc, żem uparta!...

— Wiem, niestety!...

Czerwone plamy wybiegły na pomarszczoną twarz babki. Dziś właśnie chciała usposobić dobrze hrabiego, polechtać jego próżność zwycięstwem Lili, którego nawet wobec najpiękniejszych na balu kobiet pewną była i — zażądać od niego pożyczki, zanim ten nieznośny Kwapiewicz pieniądze nadesł.

Lila uporem, kaprysami, zniweczyła jej plany. Nie mówiąc już ani słowa, wyszła p. Dolewska z pokoju.

W salonie hrabia niecierpliwił się. Pani dom u

zastała go wzburzonego, jak nigdy jeszcze. Ledwo weszła, spytał:

— Gdzież p. Lila? Czas jechać...

— Lila przeprasza — zaczęła p. Dolewska nieśmiało. — Jest trochę słaba... zmęczona.

Hrabia stanął jak wryty.

— Czy to ma znaczyć, że p. Lila nie będzie na dzisiejszym balu?

W głosie jego drżał gniew. P. Dolewska ujęła go za rękę.

— Mój hrabio, uspokój się, — rzekła z perswazyą. — Lila niezdrowa, trochę kaprysi... Trzeba jej to wybaczyć. Sama najwięcej traci, bo wiem, jak pragnęła być na tym balu... Zobaczycie się jutro...

Hrabia dość niegrzecznie wyrwał rękę. Zmięta jego twarz sfaldowała się w tysiące drobnych zmarszczek, w oczach zaświecił wyraz obrażonej dumy i złości.

— Czy pani nie uważa — rzekł, sycząc prawie — czy pani nie uważa, że p. Lila staje się nieznośną ze swemi kapryсами? — Uzbrajam się zwykle w cierpliwość przeciwko nim, o ile mogę, ale dziś... dziś nie zdołam już panować nad sobą.

— Jest w tem nieco racji, hrabio, — odparła p. Dolewska złamanym głosem. — Lila jest kapryśna, ale to złote serce i kocha cię... Musisz jej przebaczyć dzisiejszy wybryk, kochany hrabio. Słabą jest istotnie.

Hrabia odszedł od Dolewskiej i stanął przy oknie. Był bardzo zirytowany. Lila widocznie żartuje sobie z niego, ale on nie pozwoli żartować z siebie. Ile sprężyn poruszyć, ile stosunków wyrobić musiał, nim dostał zapraszające bilety na bal do ambasady! Pożyczył Dolewskiej 100 dukatów, bo Lila potrzebowała sukni świeżej, koronek i t. p. fatałaszków i wszystko napróżno. To nie jeszcze, ale wczoraj w klubie zrobił zakład z hr. de B., że nikt inny tylko narzeczona jego zaćni przesłizną Kreolkę, żonę jednego z ministrów, której uroda od dni kilkunastu robiła wiele hałasu w Paryżu.

Z nagłą determinacją zwrócił się wreszcie hrabia do p. Dolewskiej.

— Racz pani oświadczyć panie Rumszańskiej — rzekł z przekąsem — że dziś i ja zachorowałem na fantazyę. Wolno mi chyba... Jestem narzeczonym, mam niejakie przywileje... Nie jest słabą o tyle, by mnie przyjąć nie mogła. Zechej pani wyrobić mi posłuchanie u rozkapryśzonej władczyni.

W głosie jego czuć było tłumioną wściekłość.

P. Dolewska знаła aż nadto Lilię i wiedziała, że nie ustąpi.

— Kochany hrabio — zaczęła — może byłoby lepiej dla was obojga zobaczyć się dopiero jutro? Lila wypocznie... hrabia się uspokoi...

— Racz pani spełnić o co prosiłem! — zawołał, ledwo się hamując. — W przeciwnym razie będę zmuszony opuścić ten dom, z przekonaniem, iż tu próśby nawet moje lekceważą!

Pani Dolewska wyszła; czuła się bardzo przygnębioną.

Piękna Lila, z głową o ramę okna opartą, patrzyła na księżyc: płynął spokojnie po szafirowym bezchmurnym niebie, rozsiewając wokół jasne, łagodne promienie... Myśli Lili bieły za nim, uciekały gdzieś daleko od gwaru miasta, hałasliwych tonów muzyki, turkotu karet wiozących karnawałowych gości...

Cicha, srebrnym światłem księżycyca otulona wioska odbiła się w jej pamięci wspomnieniem. Dwór na górze, topolowa aleja, długi most, wiodący do ganku, zapelnionego kwitającymi roślinami, imponująca postać p. Kamienieckiego, i — piękna, dziwnie pociągająca twarz Stanisława. Myśl jej zatrzymała się na tym obrazku z pewnym rodzajem przyjemności. Czuła, że summa wrażeń otrzymanych za pośrednictwem balów, komplementów i świetnych toalet, równa się summie wynikłego ztąd zmęczenia, niesmaku i niepojętej nudy, która ją całą objęła w posiadanie. Do hrabiego coraz silniejszy uczuwała wstręt. Nawskroś estetyczna jej natura wstrząsała się, patrząc na brzydotę narzeczonego, i obraz Stanisława jawił się w jej pamięci, z początku krótko, potem coraz częściej i dłużej. Dziś właśnie dużo myślała, marzyła trochę, do czego jednak nie przyznałaby się sama

przed sobą. Babka została ją najmniej przygotowaną do jakichkolwiek ustępstw.

— Hrabia prosi — zaczęła, stając obok Lili przy oknie — hrabia prosi, abys go u siebie przyjąć raczyła, skoro do salonu wyjść nie chcesz. Jest bardzo podrażniony i upomina się, że ma niejakie prawa. Tak też i jest istotnie; dziwię się, że nie możesz tego zrozumieć...

Lila od bladej tarczy księżycyca przeniosła wzrok na babkę... Ma jeszcze w oczach rozmarzenie i słodycz, która pojawia się w nich tak rzadko.

— Rozumiem jedno tylko, babciu, — odpiera łagodnie; — nie chcę widzieć hrabiego i nic mię do tego nie zmusi. Niech przyjdzie jutro.

— Muszę więc pomówić z tobą otwarcie — rzekła pani Dolewska. — Hrabia jest wściekły. Kto wie czy kaprys twój nie doprowadzi do zerwania? Potrzebowałaś świeżej sukni na dzisiejszy wieczór, Lili. Kwapiewicz nie nadesłał... pożyczylam od hrabiego. Pojmujesz więc...

Lila z rumieńcem gniewu zwróciła się nagle ku babce. W jednej chwili znikł wyraz słodyczy i rozmarzenia.

— Przepraszam, babciu! — zawołała. — Nie pojmuję nic tego, co jest między tobą a hrabią Zononem. Kwestye materyalne są mi zupełnie obojętne: to rzecz twoja, babciu. Nie jestem jeszcze pełnoletnią. Ty, babciu, zajmujesz się interessami. Byłoby śmiesznością z mojej strony znosić wymagania hrabiego, dlatego, że ty pożyczylas od niego pieniędzy. Cóż mię to obchodzi!

— Pożyczyłam dla ciebie — szepnęła babka, patrzając na nią z żalem.

— Czy prosiłam o to babci? — rzekła z olimpijskim spokojem, wrzuszając ramionami.

Pani Dolewska westchnęła. Wiedziała aż nadto dobrze, że Lila prosić nie umie.

— Więc cóż, Lili? — pyta, próbując jeszcze. — Nawet dla mego spokoju, dla oszczędzenia mi przykrości, nie zechcesz widzieć się z hrabią? Lili! moja duszko... zrób to dla mnie...

— Nie prosz, babuniu; to napróżno — rzekła, pieszcząc ją, Lila.

Pocałowała babkę, czułością złagodziła odmowę i zupełnie spokojna odwróciła się do okna. Pani Dolewska wyszła.

Nie pierwszy to raz Lila pokonała ją swoim uporem. Co jednak zrobić z hrabią? Przeczucie mówiło jej, że tym razem i on nie ustąpi. Zastała go stojącego na środku salonu z błyskawicą gniewu w oczach.

— Cóż postanowiła królowa? — pyta, widząc już z twarzy Dylewskiej, że misya się nie udała.

— Lila jest słabą. Bardzo przeprasza, ale jutro dopiero zobaczy się z panem — rzekła przygnębiona staruszka. — Daruj, hrabio, ale powiedziec ci muszę, że i ty jesteś zbyt natarczywym. Lila istotnie jest cierpiącą... Należy jej się nieco względności.

— Aha — mruknął hrabia, zaciskając wargi, — więc to tak? Racz pani — rzekł z wyszukaną grzecznością — oświadczyć panie Lili, że nie czuję się usposobionym do znoszenia kapryśków, choćby tak pięknej, jak ona, osoby. Jutro prawdopodobnie nie zobaczymy się; mam nieco zajęć... nie wiem kiedy będę mógł służyć.

Uklonił się Dolewskiej i skierował ku drzwiom. Idąc, unosił się na palcach, by się wydać wyższym i obrażoną postawą zaimponować Dolewskiej. Ode drzwi zwrócił się jeszcze.

— Racz szanowna pani — rzekł ze słodziutkim uśmiechem — nie zapominać o maleńkim zobowiązaniu... Kilkaset dukatów to nie wielkiego.

Rumieniec oblał twarz pani Dolewskiej.

— Nie zapomnę, hrabio — odparła śpiesznie. — Z pewnością nie zapomnę. Gdy tylko Kwapiewicz...

Nie pozwolił jej dokończyć.

— Ooo, Kwapiewicz!... Doskonały straszek dla tutejszego właściciela pałacu i innych dostawców. Ja... racz pani darować, zbyt dobrze znam hypotekę Zagórowa. *Au revoir, madame!* Mój komplement uroczej kapryśnicy.

Biedna pani Dolewska, aż bólu głowy dostała. Czuła głęboki żal do Lili i straszną obawę przed niepewnym jutrem.

Nazajutrz Lila wstała nieco wcześniej i w lepszym humorze, niż wczoraj, oczekiwała przyby-

cia hrabiego. Godziny upływały, a hrabia nie przychodził.

— A to mi się podoba, babciu? — mówiła zadąsana. — Cóż to grymasy? A mówiłam babci nieraz, że go zanadto psujemy! Przyjdzie chyba do teatru, jak zwykle, bo wie, że będziemy.

Wieczorem najęta karetka zatrzymała się przed gmachem opery. Delikatny profil Lili zarysował się w oknie. Ciemne oczy z wyrazem niespokojnego oczekiwania obieżyły wokół.

— Niema go babciu — rzekła.

— I pewna jestem, że nie przyjdzie — odparła babka. — Przeciagnęłaś strunę — dodała z niechęcią.

Lila wrzuszyła pogardliwie ramionami i wyskoczyła z karety.

— Spóźnimy się — rzekła. — Pierwszy akt rozpoczęty.

Istotnie tak było. Gdy za padła kurtyna, wszystkie lornetki zwróciły się w stronę pięknej Polki, ale Lila była dziś nadąsana. Muzyka i piękny śpiew przechodziły mimo jej uszu, nie czyniąc wrażenia. Czasem tylko podnosiła do oczów lornetkę, aby zobaczyć haftowany perłami bogaty strój artystki i wówczas pierś jej w fali białych obłoków krey unosiła się lekko westchnieniem.

— A co? nie mówiłam? — irytowała się babcia, lornetując na prawo i lewo. — Wszak powiedziałam, że nie przyjdzie... Przestrzegałam... prosiłam.

— Babciu, proszę mi dać pokój — syknęła niecierpliwie Lila.

— Oczywiście — mruknęła babka niechętnie. — Najlepiej o niczem nie myśleć... Chciałabym wiedzieć co powiesz, gdy Kwapiewicz nie nadeśle pieniędzy, a Zenon się nie udobrucha.

— Cicho, babciu, podnoszą kurtynę — zawołała Lila. — Ach, jakie perły jaki to strój przepyszny! — dodała, przykładając lornetkę do oczów.

— Moja Lili, mogłabyś też zainteresować się czemś ważniejszym — rzekła babka z gniewem — nie pojmuję takiej obojętności!

— Płakać chyba nie będę — odparła Lila, przesyłając jednocześnie do sąsiedniej łoży ukłon i czarujący uśmiech.

Babka z pośpiechem skierowała lornetkę w tę stronę.

— Kto to, Lili? — pyta żywo. — Kto to?

— Hrabia de St. Brie — odszepnęła.

— Aaa! — w głosie pani Dolewskiej zabrzmiał dźwięk radosny. — Hrabia? Ale jakże ci się przygląda! Czy myślisz, że przyjdzie do naszej łoży?

— Nie sędę. Hrabina go pilnuje, a on ubóstwia swą matkę — mówiła Lila, zsuwając zręcznie delikatną zarzutkę i pokazując hrabiemu, jako przynętę, białe okrągłe ramię.

— Ach, Lili! Gdyby tego złapać — szeptała babka, chciwem okiem przyglądając się hrabiemu i manewrom wnuczki. — To byłaby lepsza partya, niż Zenon i ten mazgaj Kamieniecki.

Lila zmarszczyła brew.

— Moja babciu, proszę cię, abym już nie o Kamienieckim nie słyszała — rzekła niecierpliwie. — Szczególną ma babcia przyjemność dokuczać mi...

— Nie pojmuję: dlaczego cię to drażni? — odparła babka. — Stanisław jest ci chyba zupełnie obojętny.

— To już moja rzecz — rzekła Lili ostro — nie opowiadam się nikomu z moich uczuć.

Babka westchnęła. Lili z dniem każdym stawała się nieznośniejszą i dokuczała jej niemiłosiernie.

Powróciły z teatru, rozdrażnione obie. Hrabia de St. Brie poprzestał na ukłonie; Zenon się nie pojawił. Na toalecie leżał elegancki ze złożonym monogramem bilecik; Lila, rozbierając się, wzięła go do rąk obojętnie.

— Aaa — szepnęła, czytając. — Hrabia przypuszcza, że znalazł radykalny środek na moje kaprysy. Babciu, przeczytaj wonny liścik od swego ulubieńca!

Żartowała, ale usta jej lekko drżały i pobladła ze złości.

Pani Dolewska przeczytała chciwie bilecik i zatała dłoń.

— Zerwaniel... Lili, na miłość Boską, co my teraz zrobimy?!—pyta przerażona. — Same jedne, w obcym kraju... bez pieniędzy... A prosiłam, perswadowałam... ach, jakim ja nieszczęśliwa!..

— Proszę cię tylko, babciu, bez żadnych wymówek — rzekła Lili stanowczo. — Zrobiłam co mi się podobało. Ten zarozumiałeć pożałuje jeszcze kiedyś... Już ja mu się odwdzięczę! Czy babcia przypuszcza, że on istotnie wyjechał?

— Ależ tak! Lękałam się tego wczoraj jeszcze. Był okropnie rozgniewany. Ach Lili, Lili! Na co ty mnie naraziłaś swoim uporem!

— Dosyć, babciu! Myślmy raczej co począć? Ja-bym chciała wracać do kraju. Jestem już zmęczona i przesycona Paryżem.

— Tak, tak; jaknajprędzej trzeba nam wyjechać — odparła babka żywo — chociaż nie wiem jak to będzie. Rachunki nie popłacone, pieniędzy brak. Może hrabia pojechał do domu... Mam nadzieję, że się to jeszcze nawiąże. Niema co liczyć na konkurentów w Paryżu. W ostateczności możeby Stanisław?

Lila się rozgniewała.

— Babci się zdaje, że ja jestem towar jakiś — rzekła. — Mam chyba jeszcze dość czasu!

Zadana, odeszła do swego pokoju, ale nim usnęła, przypomniała sobie siwe oczy Stanisława, pełne niezgłębionej miłości, i w sennym marzeniu słyszała potem głos jego, szepejący tkliwie:

— Lili, Lili moja!

(Dalszy ciąg nastąpi).

## RUCH MUZYCZNY.

Manon.—Koncert szopenowski.—Lutnia.—Nikita. Koncert Konserwatorium.—Pan Sonnenfeld i symfonia.—Pożegnanie się pani Dowiakowskiej z publicznością.

Trudno o bardziej wyraźną manifestacją talentu, nad tę, którą uwydatnia panna Adelina Stehle, w wykonywaniu opery „Manon Lescaut“ Massenet'a. Opera sama, pomimo wielu miejsc bardzo pięknych, w ogóle jest ciężka do strawienia dla ogółu i stoi głównie swoją tylko rolą tytułową, jeżeli tu znajdzie dobrą przedstawicielkę. Na dziele tem scenicznem sprawdza się, bardziej jeszcze niż na wielu innych, ta prawda, że co było uplanowane do powieści, w przeróbce scenicznej traci. O ile znany romans abbé Prevost'a, jako studium i analiza uczucia bezgranicznej miłości, jest niezrównanym, o tyle wykrojone z niego libretto szwankuje na każdym kroku. Treść powieści interesuje i wzrusza czytelnika, nie tyle z powodu postaci tytułowej, bądź co bądź arcy-niesympatycznej, ale z powodu wiernego des Grieux, który ze swem ślepem i bezgranicznym przywiązaniem jest prawdziwym książką bohaterem. W operze, aby uczynić postać Manon możliwą, opuszczono z konieczności wiele jej zdrad i niewierności, a przez to intryga wychodzi blade. Trzeba więc niemałego talentu, aby taką postać podnieść i uczynić dla nas sympatyczną. Uduje się to w zupełności pannie Stehle, dzięki temperamentowi bogatemu we wdzięk i odcienie. Artystka stwarza typ istoty żywej, w której krew gra tak namiętnie, tak bezwiednie, że ulega z łatwością wrażeniom chwili, a kochając des Grieux, porzuca go dla blasku, dla życia i użycia, którego pragnie, jak ryba wody. Gra jej pełna jest wdzięku i naturalności, oraz tych nieuchwytnych szczegółów, które łatwiej odczuć, niż opisać: jej ruchy główki i figury, jej uśmiechy, jej szybkie przechodzenie z jednego usposobienia w drugie, tworzą całość pełną prawdy i indywidualności. Przy tak zaś nadzwyczajnie ruchliwej grze i usposobieniu godną wysokiego uznania jest technika wokalna, która ani na chwilę się nie zachwieja w swej czystości i poprawności. Jest to więc kreacja skończona. W operze tej i pan Stehle ma chwilę szczęśliwe, w roli des Grieux, którą oddaje z zapalem i przejęciem.

Ciekawem jest porównanie dwóch jednocześnie na scenie naszej występujących śpiewaczek, mianowicie: panny Stehle oraz panny Luizy Nicholson (Nikita). I tu i tam studia nad rolą są przeprowadzone ze ścisłością i sumiennością, ale, o ile w traktowaniu roli przez pannę Stehle przeważnie widzimy zapal dla sztuki samej i chęć przeprowadzenia idei kompozytora, u panny Nikity więcej przeważa chęć zaprezentowania korzyści swych środków wokalnych, w celu osobistej sławy. To dziecię istotnego talentu nie darmo obwożono po świecie przez lata całe z całym akompaniamentem bombastycznej reklamy, aby dziś w produkujej dojrzałej artystki ślady tej sztucznej, cieplarnianej hodowli się nie przechowały. Może nie każdemu wpadła w rękę broszura, którą obecny impresario artystki rozsyłał sprawozdawcom przed pierwszym jej w Warszawie występem. W niej, z iście amerykańską werwą, opisana była legenda „Cudownego dziecka“, które porwane przez dzikich Indian, w wieku lat 8 czy 9, przez 5 lat czarowało ich tak dalece swoim śpiewem, że uważali je za istotę nadprzyrodzoną, czcili jak bóstwo niemal, a dwóch naczelników osobnych szepców czy plemion namiętną zapałało ku niej miłością. Poradziła sobie dowcipnie młoda śpiewaczka, kładąc za warunek miłości jednemu z nich, by ją postarał się zwrócić rodzicom... Od imienia tego wybawcy pozostał artystce przydomek: Nikita! Co zaś szczegółna, to że my, wybredniejsi widocznie od Indian, w tej zawczasie produkowanej śpiewaczce nie dostrzegliśmy wówczas nic nadzwyczajnego, jakkolwiek talentu nie zaprzeczaliśmy. Na pochwałę kierowników talentu panny Nicholson powiedzieć jednak należy, że nie zaniedbali przynajmniej poprzez reklamy dobrą metodą śpiewu, dzięki której dziś możemy artystki słuchać z przyjemnością i uznaniem, i oddać sprawiedliwość wielu rzeczywistym jej zaletom. Głos ma bardzo ładny, powiedziałbym, i coraz piękniejszy. Widocznie, pomimo ciągłych występów i podróży, artystka stara się nie ustawać w pracy, oraz przerywać ją zawsze właściwym wypoczynkiem, gdyż jej sopran koloraturowy nie tylko ma się dobrze, ale zyskuje na miąższości i sile, zatracając już niekiedy o charakter i cechy sopranu dramatycznego. Studya, odbywane nad wyrobieniem techniki, wydały pożądane owoce; gamma jest jasna i nie wysiłona, tryl dobry, w całej emisyi łatwość i swoboda, forsowania głosu ani śladu. Artystka wystąpiła na naszej scenie tylko dwukrotnie: w „Rigoletto“ i w „Mignon“. Przy starannem wystudyowaniu szczegółów każdej roli, co sprawiedliwie przyznać należy, w niektórych tempach wolnych grzeszyło to wykonanie przesadą w rozciąganiu lub kawałkowaniu frazesów muzycznych, a całość gry i śpiewu nie mogła działać wzruszająco na słuchacza, który czuł we wszystkim obliczenia chłodniejsze. Szczególniej w grze scenicznej to wystudyowanie szczegółów na zimno zdawało nam się widocznem. W pierwszym akcie „Mignon“, naprzykład, realizm posunęło aż do tego stopnia, że wysiadająca z wozu Mignon miała przez cały akt słomę we włosach, w scenie zaś gdy impresario każe jej tańczyć, zbyt już po barbarzyńsku targał nią i rzucał we wszystkie strony. Po dwóch występach na scenie tutejszej panna Nikita udała się do Berlina, ale — jeśli wierzyć mamy wieściom zakulisowym — powrócić ma jeszcze do nas niebawem, aby wspólnie z Janem Reszke odtwarzać „Romea i Julię“ — partya, którą studyowała osobiście z Gounod'em, tak, jak znów Mignon przechodziła z Thomasem, który nawet dla niej ułożył transpozycją na głos wyższy i niektóre zmiany, zastosowane do skali głosu sopranowego, wprowadził.

Sprawa wystawienia pomnika Szopenowi w miejscu jego urodzenia, w Żelazowej Woli, wchodził na koniec w sferę wykonania. Początek jej datuje się od r. 1891. Gdy wóczas znakomity artysta Bałakirew odbył specjalną pielgrzymkę do Żelazowej Woli, o której dużo w swoim czasie pisano, poruszoną została w Komitecie Towarzystwa Muzycznego idea uczczenia tego miejsca urodzenia mistrza, i w celu zwiedzenia miejscowości wyjechała deputacja złożona z członków Komitetu Towarzystwa: pp. Münchheimera, Polińskiego, Nos-

kowskiego i Reichmana, z poza Komitetu zaś: pp. Gawalewicza, Lentza i Olszewskiego, redaktora „Kur. War.“ Pierwotnie toczyły się układy o nabycie oficyny, w której miał się urodzić Szopen, i założenia w niej pamiątkowego muzeum. Gdy jednak układy z obecnym właścicielem panem Pawłowskim nie doprowadziły do pożądanego porozumienia się, gdy nadto sama kwestya tożsamości lokalu, gdzie się mistrz urodził, zakwestyjonowaną została przez byłego ostatniego właściciela Żelazowej Woli p. Adama Towiańskiego, zgodzono się na wystawienie pomnika w kształcie obelisku, na gazonie znajdującym się pomiędzy dworem i oficyną.

Uzyskawszy pozwolenie, Komitet Towarzystwa Muzycznego zorganizował Kommissyą specjalną, do której, oprócz członków Komitetu weszli: pp. Br. Żochowski, autor planu pomnika, Wołydyga, twórca medalionu Szopena i ozdób artystycznych: Olszewski, Maryan Gawalewicz, Czesław Jankowski, oraz Fr. Kuczyński, właściciel Gawartowej Woli, leżącej w sąsiedztwie.

Pomnik będzie miał formę obelisku, którego wysokość bez stopni wynosić będzie 6 łokci i 15 cali, zaś ze stopniami 7½ łokcia, grubość w podstawie 2 łokcie w kwadrat. Obelisk wykonany będzie z kutej blachy żelaznej, grubości 6 mil., powleczonej grubą warstwą miedzi. Schody będą również z żelaza kutego; krata ochronna z ośmiu przęsł z czterema furtkami i drzwiami wchodowymi, ozdobionymi artystycznie rzeźbionymi lirami. Na pomniku umieszczony będzie biust marmurowy Szopena, wykonany przez p. Wołydygę podług znanego medalionu Bovy'ego, z krótkim, ale wymownym w swej prostocie napisem: „Fr. Chopin 22. II. 1810.“ (Wiadomo, że ta data urodzin śmiertelnego twórcy tonów dopiero w ostatnich czasach, przez odnalezienie dokumentu urzędowego chrztu, skonstantowaną została).

Wykonania obelisku podjęła się firma: „Konrad i Jarnuszkiewicz“, stopni — firma: „Lilpop, Rau i Loewenstein“, ozdób — p. Łopieński, krat — p. Zieleziński; powleczenia obelisku miedzią dokona fabryka Fraga; bezpłatnego pomalowania stopni podjął się p. Strzałcki; nakoniec dostarczenie kamieni oraz innych materiałów pod fundamenta wziął na siebie p. Kuczyński.

Koszta całkowite pomnika wynoszą około 4.000 rubli; summa ta już prawie pokrytą została. Z inicjatywą w sprawie zebrania potrzebnego funduszu wystąpił Radom, gdzie koncert dany w tym celu przyniósł czystego dochodu rs. 221 kop. 28. Obecnie, w dniu 2 Maja, Towarzystwo Muzyczne dało na tenże cel koncert, z którego dochód, przy rozkupieniu wszystkich biletów, oraz przy wspaniałych naddatkach wyniósł przeszło 3.000 rubli.

Program tego koncertu, oczywiście, złożonego z samych kompozycji mistrza (lub przeróbek z nich) był następujący: 1) Rondo C-dur na 2 fortepiany, odegrała panna Zofia Janczewska i Aleksander Michałowski, 2) dwie pieśni: a) „Bardz raniuchno“, b) „Niema czego trzeba“, odśpiewała panna Justyna Machwiczówna. 3) trzy pieśni w układzie Maszyńskiego na chór męzki, mianowicie: a) „Poseł“, b) „Dwojaki koniec“, c) „Gdzie lubi“, odśpiewała „Lutnia“. Dwie etudy: Cis-moll op. 25 nr. 7 i 11, oraz ballady G-moll op. 23, odegrał Al. Michałowski, 5) Nocturno Es-dur, w układzie Sarrasate'go, odegrał St. Barcewicz; 6) Trzy mazurki w układzie na chór, Noskowskiego i z jego słowami, odśpiewał chór Towarzystwa, 7) Dwie pieśni: a) „Moja pieszcotka“, b) „Rzy mój gniady“ odśpiewał p. Gustaw Jerzy Czernicki, c) „Dwa preludya i pieśń „Hulanka“ w układzie na chór męzki odśpiewała „Lutnia“, d) Nokturn Fis Moll (Op. 48) i Polonez Fis Moll (Op. 44) odegrał Al. Michałowski.

Oczywiście, w wykonaniu tego programu największe wrażenie wywarły utwory fortepianowe, zwłaszcza Polonez Fis Moll w mistrzowskiej interpretacji Michałowskiego. Ale i przeróbki, lubo w zasadzie nie tyle pożądane, odznaczyły się wdziękiem i zręczną fakturą i mile słuchanemi były. Z tych najsympatyczniej przedstawiła się smętna pieśń: „Dwojaki koniec“, dalej ulubione oddawna Preludya 7-me w układzie na chór męzki Maszyńskiego, dalej trzy Mazurki, opracowane na chór przez Noskowskiego. Zro-

bione są one tak dobrze i tak pomysłowo, że niewiadomo, któremu z nich oddać pierwszeństwo, i zdania pomiędzy kompetentnymi słuchaczami pod tym względem były podzielone; dla nas najwięcej wdzięku i właściwego przystosowania miał mazurek drugi, opracowany na chór żeński w duecie, ze słowami odpowiednimi bardzo do jego sielankowego charakteru. W wykonaniu śpiewów bardzo pięknie wyszła pieśń: „Niema czego trzeba“ w interpretacji panny Machwicówny, oraz „Pożegnanie“, śpiewane przez p. Czernickiego. I „Moją pieśzcotkę“ śpiewał p. Czernicki dobrze, tylko w zakończeniu wyraz „całować“ traktował z energią iście wojenną — a o ile wiemy, czynność ta tyle bohaterstwa nie wymaga.

Od koncertu szopenowskiego, w którym czynny udział przyjęła „Lutnia“, do jej własnego, danego we dwa dni później, przejście jest prędkie i naturalne, tembardziej, że nawet na nim usłyszeliśmy powtórzenie tych samych pieśni genialnego kompozytora w układzie chórowym. Początek koncertu tego, zgodnie z majowem publiczności usposobieniem, zaznaczył wiosnę aż w trzech po sobie następujących chórach; „Maj“ Morley'a, „Powitanie wiosny“ Schumanna (1-szy raz), oraz „Wiosna“ Wilhelma. Lutnia mieszana — damska i meška — powtórzyła niezbyt dla nas zajmujące tańce Schuberta w układzie Flitnera, zakończenie zaś koncertu stanowiły dwie lekkie, ale zajmujące nowości: Serenada japońska (?) Kan-Tsing'a, oraz „Wędrowni śpiewacy“ Clarka. Oba chóry wesoło i zręcznie ułożone — serenada nie wygląda na japońską, ile raczej na europejski figiel, do którego, dla komicznego kolorytu, włożono parę dzikich (może i japońskich) wyrazów à la Mikado.

Z przebiegu całorocznych programów Lutni, — a niektóre były bardzo zajmujące — widzimy, że się ten chór dobrze rozwija, że ładnie cieniuje i wymawia, ale że się nie kusi o pokonywanie trudniejszych i większych zadań artystycznych; naprzykład, zapowiadana od roku „Pielgrzymka róży“, Kantata Schumanna, jeszcze nie weszła w skład repertuaru.

W ostatnim koncercie panna Marya Wąsowska objęła partję fortepianową i odegrała bardzo dobrze fantazyę Op. 13 Szopena (z towarzyszeniem na 2-gim fortepianie pana Urstein'a), „Venezia e Napoli“ Liszta, oraz, nad program, Szopena etudę i Walca Niewiadomskiego. Panna Remer „Śpiewaczka“ nie odpowiedziała zadaniu w ary z „Aidy“, lepiej nierównie wykonawszy pieśni.

Instytut Muzyczny urządził na korzyść swych niezamożnych uczniów koncert w dniu 11 Maja. W pięknym programie tego koncertu najmniej wziął udziału — sam Instytut, a jednak jego chóry, wybornie prowadzone przez p. Stattlera, mogły być zaproszone do wykonania kilku numerów. Współdziałal instytutowi uwydatnił się jednakże w dwóch wybitnych jej siłach: Noskowskiego jako dyrektora, oraz Michałowskiego, jako fortepianisty. Pierwszy wybornie dyrygował z pamięcią piękną (i trudną) uwerturą Czajkowskiego do „Romea i Julii“ oraz „Tańcem szkieletów“ „Saint-Saëns'a; Michałowski odegrał tak, jak on umie, Romans i Rondo z koncertu E Moll Szopena. Przy wykonaniu romansu zaszedł epizod dziwny: artysta pod wpływem chwilowego kurczu palcowego, nie dokończył ostatnich pasażów romansu, dość łatwych, a za to zagrał przewybornie arcy-trudne pasaży w Finale. Ten finał w ogóle traktowany jest przez wirtuoza z szaloną brawurą, ale stanowczo za prędko, co odbiera kompozycji jej wdzięk i humor. Prawdziwą przyjemność sprawiła wszystkim pani Konarska odśpiewaniem wielkiej arii z „Freischütza“ Webera. Śpiewaczka ta znakomicie opracowuje wszystko, co śpiewa, a że oprócz pięknego głosu i metody obdarzona jest nadto i wyborym smakiem, przeto jej produkeye noszą na sobie cechę wielkiego wykonania. Poważnie, pięknie i głosem wspaniale brzmiącym (szkoda, że nie w najniższych nutach) odśpiewał pan Sillich arję Sarastra z „Fletu zaczerpniętego“, potem dał nam pieśń Rotolego „la mia bandiera“, którą jednak wolimy słyszeć we właściwej skali barytonowej. Dochód z koncertu, danego w zbyt już

późnym sezonie, nie był znaczny, gdyż publiczność zebrała się niezbyt licznie.

Większem za to powodzeniem i liczbą gości powinna się cieszyć Dolina Szwajcarska, gdzie pan Sonnenfeld, zebrawszy karną drużynę orkiestrową, do zadań poważnych ją przysposobiał. Koncert symfoniczny dnia 12 dał nam program klasyczny; usłyszeliśmy na nim Suitę Mozkowskiego (a raczej szereg obrazów, zaczerpnięty z jego cyklu: „Aus allen Herren Länder“), uwerturę „Ruy-Blas“ Mendelssohn'a, oraz symfonię 8-ą Beethovena. Wykonanie świadczyło o dobrem wystudowaniu i zrozumieniu każdego dzieła — tempa były zachowane właściwie, cieniowania starannie przeprowadzone. Pan Sonnenfeld, którego żywy temperament nieraz unosi, panował nad sobą, zachowując spokój i baczność mając oko na każde wejście instrumentów. Raz tylko w Allegretto Scherzando z symfonii, nie utrzymał tempa, które, z początku spokojne, w dalszym ciągu zanadto było przyspieszone. Orkiestra składa się z sił młodych, ale przeważnie niezłych: i skrzypce, i dęte drewniane, i waltornie spisywały się dobrze — obsada jednak jest za słaba; szczególnie altówki i wiolonczelle bardzo mało słyhać, i w ogóle forte w tej orkiestrze jest za nikłe. Życzyć więc tylko należy panu Sonnenfeldowi poparcia publiczności, na które ze wszechmiar zasługuje, a wówczas i komplet się znajdzie i zgranie się będzie coraz lepsze. Interesującym tego koncertu numerem była Ballada na orkiestrę, skomponowana przez panią Ludwikę z Mikorskich Jeske-Choińską, a zatytułowana: *Rusalka*. O tytuł mniejsza, a nawet i o komentarz do treści, którym nas obdarzyły pisma codzienne (a który może-by właściwsze znalazł był miejsce na samym programie koncertu): sądząc kompozycyją z punktu widzenia czysto muzycznego, trzeba jej przyznać pewne zalety. Nie polegają one głównie na samym toku myśli, który jest trochę porwany, czy też jakby z kawałków luźnych zeszyty; ale autorka widocznie umie myśleć o orkiestrze przy komponowaniu, oraz umie efekty tego ciała zbiorowego wyzyskać. Ballada jest instrumentowana wybornie, i lubo nie daje nam efektów nowych, wszakże ukazuje na niej już nabytą rutynę. Znać w pani Ch. pojętną uczennicę Noskowskiego.

Towarzystwo Muzyczne zamknęło już swe podwoje na sezon letni. Ostatni wieczorek (mniejszy), urządzony przez prof. Horbowski, zaprezentował nam cały szereg jego uczniów i uczennic, świadczących o dobrej metodzie i starannej pracy nauczyciela.

Dnia 20 Maja, w Niedzielę, znakomita primadonna naszej sceny, pani Bronisława Dowiakowska, pożegnała się z publicznością na poranku, na jej uczczenie urządzonym przez dyrekcję. Sala teatralna była pełna, owaacy i kwiatów było wiele — niemniej jednak takie ceremonie smutne czynią wrażenie, podobne do tego, jakie sprawiają obłóczyny młodej dziewczycy, opuszczającej świat dla ciszy klasztornej. I nie zmniejsza to naszego żalu, że ta nowicyuszka już 37 lat służby scenicznej sobie liczy (debiutowała 20 Kwietnia 1858 r. w „Stradelli“ Flotowa) i przywykła widywać ją lat tyle na scenie, że z jej usunięciem się tracimy niejako cząstkę własnego życia. Artystka, widocznie wzruszona z początku, dowiodła nam później, w jak wyjątkowo świetnym stanie talentu żegna się z nami; śpiewała recitativo, modlitwę (Casta diva) i allegro z pierwszego aktu „Normy“ (z siłą i szerokością, zadziwiającymi passażami kolaturowymi i znakomitą trylem. W arii i scenie więziennej z „Mefista“ Boity wykazała siłę i akcent dramatyczny. Nareszcie świetnie wykonanym polonezem z „Mignon“ zakończyła przedstawienie. Prawdziwie trudno o chlubniejszy finał po tak długoletniej pracy. W pani Dowiakowskiej scena miała filar prawdziwy. Obdarzona niezwykłą pamięcią i zdolnością, artystka, nawet ze szkodą własną, dźwigała przez czas długi na swych barkach cały ciężar repertuaru koloraturowo-dramatycznego — i to w początkach właśnie swej kariery, gdy głos, jeszcze delikatny, na takie śmiałe experimenty nie pozwalał. Po latach kilkunastu takiej pracy przybyła i wyborna metoda i emissa, nabyta we Włoszech a przy-

swojona w krótkim czasie, która dalszą karierę pani D. uczyniła tak wyjątkowo świetną. Posiadała artystka w swoim repertoarze przeszło 80 oper, a w niektórych po dwie lub trzy role. Naprzykład w „Hugonotach“ śpiewała cudownie królową i znakomicie Małgorzatę — w „Aidzie“ kiedyś w zastępstwie wykonała weale dobrze Amneris (a wiadomo jak świetną była Aida), „w Don Juanie“ trzy role odtwarzała, i t. d. Wyjątkowa zdolność i łatwość uczenia się, pamięć, muzykalność, cechowały panią Dowiakowską, a jej koloratura była, wedle ogólnie przyjętego pomiędzy artystami zdania, europejską.

Na tym samym poranku panna Stehle odtworzyła akt 4-ty „Violetty“ z niepospolitym talentem wokalnym i z grą dramatyczną tak przejmującą, że można porównać tę artystkę z najlepszymi przedstawicielkami scenicznymi tej roli w „Damie Kameliowej“ Dumasa.

Jan Kleczyński

## Kronika działalności kobiecej.

— Petersburgskie Towarzystwo dostarczania funduszów na utrzymanie wyższych kursów żeńskich składa się przeważnie z kobiet. W ciągu lat piętnastu Towarzystwo dostarczyło kursom 230.000 rs., opłata pobrana od słuchaczek przyniosła 436.000 rs., obok tego Towarzystwo przychodziło z pomocą mniej zamożnym słuchaczkom przez utworzenie kilku stypendyów. Słuchaczek było w ubiegłym roku szkolnym 188.

— Wystawa w Niżnym Nowogrodzie, nosząca nazwę XVI wszechrosyjskiej wystawy przemysłowej i artystycznej, a mająca się wkrótce otworzyć, mieć będzie osobny oddział dla okazów kobiecych.

— Dzienniki petersburskie podają, iż ministerium finansów zamierza założyć w okolicach stanowiących środkowy punkt drobnego przemysłu pierwszą fabrykę maszyn do szycia.

— Nowa instytucja dobroczynna powstała w mieście naszym, wzniesiona siłą woli i ofiarności pań szlachetnych. Przed laty sześciu siostra miłośniczka, Julia Złotnicka, przy współdziałaniu pań: Wężyk Rudzkiej i Jadwigi Rentelowej wynajęła przy ulicy Grzybowskiej szczytły lokalik na pomieszczenie ośmiu kalek nieuleczalnych, lecz szlachetna działalność miłości bliźniego nie ustawała, i we dwa lata potem mieściło się tam czternaście tych nieszczęśliwych. Przytulek przeniesionym został na ulicę Chłodną i postanowiono oddać go pod opiekę Towarzystwa Dobroczynności, jak też się stało. Dnia 10 bieżącego miesiąca odbył się akt uroczysty otwarcia i poświęcenia nowej instytucji, mieszczącej się na Lesznie pod nazwą „Przytulku kalek i nędzy wyjątkowej Ś-go Stanisława Kostki.“ Opieka składa się, obok hr. Ostrowskiej, prezesowej, i p. Maryi Dziekońskiej, vice-prezesowej, z pań sześciu i trzech panów. Gospodynią Przytulku jest siostra Julia Złotnicka. Aktu poświęcenia dopełnił ksiądz Stanisław Niewiarowski. Znaczne ofiary pieniężne, jakie złożono, pozwalają na rozszerzenie Przytulku, gdzie obecnie mieści się 74 kalek i kilkanaście sierot.

— Doroczna wizyta w zakładzie wychowanek Warsz. Tow. Dobroczynności zgromadziła panie opiekunki: Bojarską Helenę, Borowiecką Maryę, Jasińską Zofię, Jasińską Maryę, Jasińską Janinę, Kozerską Maryę, Korycińską, Rydzikowską Leokadyą. W zakładzie przebywa 75 wychowanek, dostających tu wychowanie moralne i naukę ręcznych robót kobiecych; z ofiar opiekunek wpłynęło w roku sprawozdawczym rs. 300. Postanowiono umieszczać wychowanki mające lat szesnaście w szkole gospodarstwa wiejskiego zacnej pani, hr. Zyberg Platerówny w Chyliczkach, aby w ciągu dwuletniej praktyki gospodarczej mogły się uzdolnić na dobre gospodynie. Obok tego po-

wstał między szlachetnymi filantropkami projekt założenia szkoły kucharskiej (połączonej z jadłodajnią), w której by wychowanki uzdolniły się na dobre kucharki. Panie opiekunki obdarzyły hojnie sieroty książeczkami i łakociami różnymi; doktorowa Wszebrowa dała sztukę perkalu, p. Kozerska rs. 10.

— Do grona członków rzeczywistych Tow. Jedwabniczego zapisały się panie: Wanda Trębička z Łomny, Wiktorya Morawska ze Smardzewa i Marya Tetmajerowa z Wierzbołowa. Osoby pragnące wziąć udział w praktycznej nauce hodowli jedwabników, której udziela w parku sieleckim p. Kurtz, mogą się obecnie zgłaszać do tej pani wprost w parku sieleckim, w budynku dawnej pralni na dole, niedaleko od przystanku tramwaju willanowskiego przy Marcelinie, a to w godzinach między 3-ą a 5-ą po południu.

— Olga Boznańska, malarka zamieszkująca Kraków, otrzymała od monachijskiego stowarzyszenia artystów zawiadomienie, iż wskutek otrzymanego na tegorocznej wystawie złotego medalu utwory jej pędzla będą przyjmowane na wystawę, nie podlegając ocenie kommissy rozpoznawczej.

— Rektor uniwersytetu krakowskiego otrzymał zbiorową petycję kilku panien, żądających przyjęcia ich na uniwersytet jako wolnych słuchaczek wydziału filozoficznego.

— W Paryżu powstała restauracja wyłącznie dla kobiet. Dwa lata temu pani dobrego serca pomyślała o przykroćciach, na jakie może być narażona kobieta, którą ograniczone środki zmuszają do szukania sobie posilku w lichych garnkuchniach, i powstał zamiar założenia jadłodajni wyłącznie dla kobiet w pobliżu Marché Saint-Honoré. Jak rzecz była potrzebną, wykazuje fakt, że w dniu pierwszym otwarcia pośpieszyło tam 120 kobiet: szwaczek, panien sklepowych i różnych pracownic, nie mających rodziny. Założono też zaraz drugą restaurację taką już na wielką skalę, mogącą zaspokoić potrzeby przeszło 600 stołowniczek, pracujących w biurach pocztowych, bankach, kantorach i sklepach. Zarząd telefonów zawarł umowę w imieniu urzędniczek swoich, i mają one osobne stoły, a obiady wydawane są na rachunek instytucji, która uiszcza w końcu każdego miesiąca należność. Dobry obiad z deserem i kawą kosztuje przeciętno 70 centymów. Że przecież nie każda z pracownic może tyle zarabiać, że czasem brak pracy zupełnie usuwa zarobek, zdarza się nieraz, że dwie przyjaciółki lub krewne dzielą się jednym obiadem.

— Powieściopisarka irlandzka, ceniona bardzo, nie tylko dla wyższego talentu, ale dla kierunku myśli i uczuć, które wcielała w utwory swoje, miss Owens Blackbourne, umarła w ciężkich cierpieniach z poparzenia. Dworek wiejski, w którym zamieszkiwała z matką staruszką, stał się pastwą płomieni, że zaś był odległy od wsi, a ogień wybuchnął w nocy, więc ratunek nieprędko się zjawiał, i dzielna córka wyniosła najpierw matkę na rękach, a gdy chciała wrócić, aby ocalić rękopisma swoje i coś mienia, spadła na nią belka gorejąca. Na pogrzeb zebrało się przeszło tysiąc ludzi, głównie wieśniaków, którym poświęcała szczególnie pióro swoje, i spośród tych prostaczków wyszła pierwsza myśl uczczenia jej pomnikiem, na który składki napływają obficie z całej okolicy, na ręce miejscowego plebana składane. Ktoś rzucił myśl, aby posąg ten przedstawiał ją na wzór Dziewicy Orleańskiej w pancerzu, bo przez życie całe musiała walczyć z ciężkimi doświadczeniami losu, nigdy nie słabnąc duchem, nigdy nie schodząc z drogi obowiązku.

— Miss Pearson, bogata, piękna, wyższego umysłu osoba, mieszkająca z rodzicami w Liverpoolu, spotkawszy się w czasie chwilowego pobytu w Londynie z członkami stowarzyszenia misyonarzy, tak gorąco wzięła do serca sprawę, której służą, że opuściwszy dom, rodzinę, weszła do stowarzyszenia i lat dziesięć spełniała poświęconą służbę swoją w Chinach. Obecnie powróciła do kraju i nie tylko nie żałuje tego, co uczyniła, ale stała się prozelitką missy kobiecych, przez które, według jej mniemania, może niemyślnego, najwięcej zdziałać można na korzyść chrystyanizmu, ponieważ kobieta zdoła silniej oddziaływać

na kobietę, więc na rodzinę, na dzieci, które są pokoleniem przyszłości.

— Dziewięć młodych panien angielskich z wyższych sfer towarzyskich zdało examina w *Sanitary Institute* na pilnowaczki chorych, chcąc sprawować swoją poświęconą służbę w okolicach odległych od miast większych, gdzie jest mniej lekarzy i gdzie mogłyby też być użyteczne biednemu ludowi.

— Londyńskie stowarzyszenie aptekarzy rozpisało konkurs na nagrody przyznawane pannom lub paniom młodym, mającym już skończonych lat dwadzieścia, któreby okazały wyższą wiedzę w zakresie studyów w botanicznych. Examina, które tu rozstrzygać będą, odbyć się mają w Czerweu.

## Z bieżącej chwili.

— Piszą z Petersburga, iż w celu możliwie największego przystosowania działań departamentu handlu i rękodziel do wymagań życia, ma być przy wzmiankowanym ministerium utworzona rada stała z celem badania okoliczności, towarzyszących wywozowi za granicę produktów rolnych i przyjsia z pomocą tej gałęzi wywozu. Pierwszem tu zajęciem Rady będzie rozstrząśnięcie kwestyi dotyczącej wywozu masła i sera za granicę.

— W rozkazie miejskim ogłoszono wykaz najmowanych przez zarząd miejski lokali mieszczących szkoły elementarne, na które kontrakty przestają obowiązywać od d. 1 Lipca. Służbie miejskiej polecono zająć się niezwłocznie wyszukaniem dwudziestu sześciu lokali dla tychże szkół, w odpowiednich warunkach.

— W Petersburgu zostaną zaprowadzone w tramwajach gazety do czytania dla pasażerów. Opłata ustanowiona jest możliwie najmniejsza, zostawia się ją przecież do woli czytelników.

— Warszawska Rada Miejska Dobroczyńności publicznej zatwierdziła projekt ogólnego etatu Schronienia dla sędziwych sług i wyrobników, ustanowionego przy kościele Panny Maryi na Nowym Mieście, na 54 pensyonarzy kobiet i mężczyzn, z dochodem i rozchodem obliczonym na 31.715 rs. Rada Miejska zatwierdziła również zapis ś. p. Konstantego Łukasiewicza, przeznaczający: 4.000 rs. dla domu podrzutków przy szpitalu Dzieciątka Jezus i 2.000 rs. dla szpitala Ś-go Jana.

— W d. 22 Maja rozpocznie się wręczenie kart dzieciom zakwalifikowanym do wyjazdu na kolonie letnie. Komitet rozporządza sześciuset miejscami, gdzie dzieci te wysłane być już mogą, co znaczy, iż wyjechać ich może w ciągu lata 1.800, ale potrzeba na to jeszcze znacznych ofiar pieniężnych, które niewątpliwie się zbiorą; dowodzą tego fakta takie, jak dar 1.500 rs., złożony przez zacnego filantropa, zastrzegającego sobie tylko bezimiennosć. Mnożą się też dary różne: dzieci d-ra Stumera ofiarowały 200 kółek i 200 sztyletów trzeiniowych do zabawy dla szczęśliwych kolonistów, marzących już o rozkoszy bieżącej po polach i łąkach. Przyjmowania darów podjęła się p. Stanisławowa Natansonowa, Szkolna N-r 10.

— Budowa kościoła Ś-go Floryana na Pradze postępuje; obecnie wykończają przybudowania prezbiterjalne, przeznaczone na skarbiec i zakrystyę; rysunki i profile przypominają tu nieco bibliotekę jagiellońską. W południową ścianę prezbiterium wmurowano wielki kamienny krucyfiks z dwiema figurami u podnóża; dzieło to jest Woydygi.

— W Połańcu, wgubernii radomskiej, ma stanąć nowy kościół i z początkiem bieżącego miesiąca

rozpoczęto już pracę położenia fundamentów pod budowę. Do roboty stawia się codziennie około 100 robotników, coraz-to z innej wioski, należącej do parafii połanieckiej.

— Komitet Tow. Muzycznego zgłosił się do Paderewskiego z prośbą, aby wziął udział w koncercie urządzonym na rzecz budowy pomnika dla Szopena, czemu przecież artysta nie mógł zadosyć uczynić, jak to wyraził w liście do komitetu pisanym, gdzie tłumaczył się z niemożności przybycia do naszego miasta, przesłał 2.000 franków z prośbą, aby pieniądze te zostały przyłączone do ogólnego funduszu na rzecz pomnika zbieranego. Fundusz ten obecnie już pokrywa cały koszt budowy.

— Wykonywa się w jednym z artystycznych zakładów naszego miasta kazalnica przeznaczona do katedralnego kościoła we Włocławku. Rzeźbiona z drzewa dębowego w stylu ostrołukowym, zdobię będą w części dolnej płaskorzeźby, po bokach postacie czterech Ewangelistów, naturalnej wielkości, a ponad amboną w pośrodku postać Jezusa Chrystusa. Grupa złożona z ośmiu aniołów podtrzymywać będzie część szczytową.

— Ksiądz Brykczyński, kapłan uczony, członek kommissy archeologicznej i kommissy sztuki Akademii Umiejętności, napisał i wydał świeżo książkę w zakresie swoim niepospolicie zajmującą „Podręcznik praktyczny Ikonografii Chrześcijańskiej“. W przedmiocie tym niewiele u nas pisanego, ale zajmowały się nim za to pióra nieposłednie. Łepkowski, uczony archeolog krakowski, zamieścił w „Bibliotece Warszaw.“ w 1856 r. pracę zajmującą „Ikonografia o nimbach, aureolach, gloriach i symbolach świętych, używanych na obrazach“. Także w „Bibliotece Warszawskiej“ zamieścił wkrótce, bo w 1859 r., Ambroży Grabowski „Początek Ikonografii naszej“, najważniejszą przecież w tym kierunku jest u nas praca przełożona z angielskiego: „Złota legenda artystów“, wydana w 1848 r. Dzieło to jest kobiety, Mrs Jamesson; znała ona wszystkie główne galerie sztuki; materyał, który zebrała, jest też niepospolity, ale autorka ogranicza się do opisów różnych oglądanych przez nią obrazów, i to jeszcze traktowane jest w duchu protestanckim. Obok tego posiadamy poważne i obszerne dzieło ks. Bilezewskiego „Archeologia Chrześcijańska“, oraz prace Maryana Sokołowskiego, oparte na studyach poważnych, bardzo pięknie skreślonych.

— Nakładem Józefa Zawadzkiego w Wilnie wyszło „Album Wileńskie“ z 25 widokami.

— Malarz Maurycy Trembacz, otrzymawszy zamówienie na portret Kedywa Egipskiego, wyjeżdża do Egiptu.

— Wybory członków zamiejscowych do Akademii Krakowskiej, dokonane w roku zeszłym, otrzymały sankcję rządową. Na mocy tych wyborów Henryk Sienkiewicz został członkiem wydziału filologicznego, Piotr Chmielowski członkiem korespondentem tegoż wydziału, d-r Maksymilian Perlbaum członkiem korespondentem wydziału historyczno-filozoficznego, Samuel Dickstein członkiem korespondentem wydziału matematyczno-przyrodniczego, Wład. Natanson wydziału matematyczno-przyrodniczego i Ojciec Paweł Pierling członkiem korespondentem wydziału historyczno-filozoficznego.

— Wystawa obrazów Chełmońskiego zostanie wkrótce urządzoną w Salonie Artystycznym na Nowym-Świecie i oglądać tam będziemy między innymi: „Zjazd na polowanie“, „Miesiąc miodowy“, „Depesza do frontu“, oraz znakomite dzieło jego pędzla nagrodzone na wystawie paryskiej „Napoleon w 1812 roku“.

— Z Zakopanego donoszą, że przy szczególnie pięknej i trwałej pogodzie zjechało się tu nadszpodziewanie wiele gości, bo 300 osób. Są między nimi goście bardzo zdaleka, z Egiptu, z Ramleh. Hr. Zamoyski oddał ogromny kawał lasu na park, gdzie budują już altanę dla muzyki i drugą dla gości. D-r Chramiec upieknił bardzo swój zakład, dom i galerię spa-

cerową [odświeżono, a las dotykający do domu zamieniono w ogród z pięknymi kwiatami i trawnikami.

— Rząd niderlandzki postanowił osuszenie jeziora Zuyder See i kommissya specjalna dla rozpatrzenia tego projektu uchwaliła znaczną większością głosów osuszenie jeziora i zbudowanie tamy od Hollandyi północnej do Fryzyi. Koszta obliczono na 189 milionów florenów. Kommissya głosowała jednomyślnie, aby roboty te wykonało państwo; przez osuszenie jeziora przybędzie krajowi 190.000 hektarów gruntu rodzajnego, wartości 326 milionów.

## Nowe zastosowanie „metalny przyszłość.“

Gdy z pomocą elektryczności udało się wydożyć aluminium ze zwykłej gliny (ztaąd nazwa polska *glin*), dość niskim stosunkowo kosztem, ogłoszono je „metalem przyszłości“, przepowiadając zarazem, że zapanuje ono wszechwładnie i w kuchni, i że aluminiowe wyroby nie tylko istnieć będą mogły obok naczyń miedzianych, emaliowanych i niklowych, lecz je bezwątpienia wyrugują.

Z dawienawna stawiano rozmaite zarzuty dotąd używanym naczyniom kuchennym z metali nieszlachetnych. Przedewszystkiem są one zbyt ciężkie, i z tego względu niedogodne; prócz tego przy gotowaniu potraw wydzielają szkodliwe dla zdrowia materye. Aluminium, nie pokrywające się nigdy rdzą, zdawało się na pierwszy rzut oka zupełnie właściwym metalem na wyroby kuchenne. Lecz przemysł i higiena nie miały dostatecznego zaufania do mało jeszcze znanych własności tego metalu, i dlatego początkowe projekty spełzły na niczem, przeciwnie nawet, gdy pojawiły się pierwsze aluminiowe naczynia, powstały głosy ostrzegające, aby w kuchni „srebra z gliny“ nie używać. Mówiono, że psuje ono smak potraw, że bardzo prędko niszczy się w użyciu oraz przy czyszczeniu; przedewszystkiem jednak twierdzono, że „zatrzuwa“ potrawy, że je czyni szkodliwymi. Ostrzeżenia podzielały: publiczność namyślała się, i czekała rezultatu głębszych badań. Sprawy tej jednak nie zaniedbano, a zebrane wiadomości, któremi dzielimy się poniżej, oparte są na gruntownych i starannych doświadczeniach, dokonanych w cesarskim urzędzie zdrowia i w medycznym oddziale ministerium wojny w instytucie Fryderyka Wilhelma w Berlinie.

Najważniejsza część badań polegała na wyjaśnieniu pytania: czy użycie naczyń aluminiowych w kuchni, może spowodować zaburzenia w organizmie ludzkim? Jeżeli tak, to projekt wprowadzenia tych wyrobów do gospodarstwa upadał sam z siebie. Nauka zalicza aluminium do rzędu trucizn, tak jak inne metale, opierając się na zasadzie, że wszystkie sole metalowe, wprowadzone do krwi, zabijają zwierzęta mające krew gorącą. W takich warunkach, t. j. przy dostaniu się do krwi, okazały się i związki aluminiowe szkodliwymi, jakkolwiek w porównaniu z ołowiem, miedzią, żelazem i niklem, własności ich bez porównania mniej są trujące. Lecz nie wprowadzamy przecież aluminium do krwi naszej, a zatem związki chemiczne tego metalu mogłyby tylko okazać się szkodliwymi wtedy, gdyby w potrawę lub płynem połączony zostały. W taki właśnie sposób trujące są związki ołowiu, gdyż z żołądka i kiszki przechodzą do krwi.

Zobaczmy teraz: czy aluminium ma takie same

własności? Nie można było odrazu na pytanie to odpowiedzieć twierdząco, gdyż oddawna wiadano, że mangan, naprzykład, wcale z kiszki w krew nie przechodzi. Postanowiono zatem wykonać próbę, a ta wypadła na korzyść aluminium: związki jego nie przechodzą z kiszki do krwi, a dowiodły tego liczne doświadczenia ze zwierzętami.

Daleko ważniejszymi są rezultaty badań nad ludźmi. Dwaj lekarze, pierwszy dwudziestoseściolatek, drugi trzydziestopięcioletni, zdrowi i silnej budowy, przyjmowali codziennie, o 11-ej przed południem, przez cały miesiąc, po jednym gramie soli aluminiowej, przy drugim śniadaniu. Żaden z nich nie spostrzegł zmiany apetytu ani najmniejszej zmiany stanu zdrowia, tak bezpośrednio po zażyciu soli, jak również po pewnym przeciągu czasu.—Na zasadzie tego faktu lekarze doszli do wniosku, że: „Spożycie potraw i płynów gotowanych lub przechowywanych w naczyniach aluminiowych nie może być dla zdrowia szkodliwym.“

W instytucie Fryderyka Wilhelma prowadzono badania nad gotowaniem w naczyniach z aluminium przez półtora roku, a w ciągu tego czasu dwaj posługacze laboratorium spożywali codziennie potrawy i napoje przyrządzane w aluminiowych naczyniach, jedli mięso, jarzyny i pili kawę w bardzo obficie wydzielanych porcjach.—Medyczny oddział pruskiego ministerium wojny doszedł więc do przeświadczenia że: „pod względem higienicznym nie może być żadnych przeszkód do używania naczyń aluminiowych w gospodarstwie.“

Drugi zarzut polegał na tem, że aluminium w niekorzystny sposób oddziaływa na smak potraw i napojów. W istocie, zarzut to był słuszny, stwierdzony przy użyciu butelek aluminiowych, tylko — aluminium samo wcale ta winnem nie było.

Przy wyrobie tych butelek używano początkowo tłustej masy z baraniego łożu i sadła, albo też rzepakowego oleju i rzadkiego mydła. Łatwo pojąć, że najmniejsza pozostałość tej masy mogła nadać zły smak napojom. Istotnie, zauważono później, że szkodliwy ten smak dawał się coraz mniej odczuwać przy ciągłym użyciu flaszek, i w końcu niknął zupełnie. Odkąd zaprzestano używać tej masy przy wyrobie naczyń z aluminium i wykonywano je z jednej sztuki, ustały też i narzekania, i nikt dowieść nie mógł, aby potrawy i napoje zmieniały smak pod wpływem aluminium. Nadmieniamy, że owoce, kwaszona kapusta i t. d., gotowane w aluminiowych rondlach lub pozostawione w nich, nie zmieniają swego naturalnego koloru, przez co potrawa smaczniejszy ma pozór.

Druga część doświadczeń miała na celu wyjaśnienie kwestyi ekonomicznej: czy lekki ten materiał będzie dostatecznie trwałym? czy okaże się odpornym na wpływ gotowania i czyszczenia, lub też czy też podlega zniszczeniu w krótkim stosunkowo czasie?

Pod tym względem próby dokonane w instytucie Fryderyka Wilhelma dały pouczające i pocieszające wyniki.

Jak na wszystkie nieszlachetne metale, tak i na aluminium, oddziaływają potrawy i napoje; zwłaszcza pod wpływem garbnika tworzą się na dnie naczynia czarno-brunatne plamki, a płyn staje się z czasem mętnym i włoskowanym; nie oddziaływa to szkodliwie na zdrowie, lecz napój przedstawia się nieapetycznie; dlatego też flaszki aluminiowe nie nadają się do przechowywania płynów zawierających garbnik jak np: koniak, kawa i t. d.

Roztwory soli oraz zwykła woda do picia tworzą przy dłuższym staniu w naczyniu białe plamki, zupełnie nieszkodliwe i dające się z łatwością usunąć, tak samo jak i czarne, przez oczyszczenie piaskiem i gorącą wodą.

Przy gotowaniu słonych i kwaśnych potraw w aluminiowych garnkach rozpuszcza się pewna część metalu. Próbowano także gotować kwas octowy, przyczem obliczano ilość rozpuszczonego metalu, która początkowo tak była znaczna, że obawiano się prędkiego zużycia naczynia. Jednakże, prowadząc dalej badania w tym kierunku, stwierdzono, że rozpuszczona ilość zmniejszała się stopniowo i stosunkowo dość szybko.—Jednocześnie zauważono, iż powierzchnia naczynia, o ile była z octowym kwasem w zetknięciu, pokrywała się jasno-brunatną gładką, zbitą powłoką, podobną do emalii, początkowo cienką, później coraz grubszą. Osad ten uważać można jako rodzaj zabezpieczającej powłoki.

W jaki sposób tworzy się ta powłoka?

Aluminium znajdujące się w handlu nie jest chemicznie czyste; zawiera nieznaczny przymieszkę żelaza oraz silicium, twardego ciała które tworzy krzemień a samo jest odporne na działanie najsilniejszych kwasów. Przymieszka silicium w aluminiowych płytach waha się od  $\frac{1}{2}$  do 2 procent. Twardy ów materiał rozdrobniony jest w metalu na cieniutkie cząsteczki. Jeżeli na płytę działa słaby kwas, to rozpuszczanie odbywa się bardzo powoli, górna powierzchnia cząstek silicium zostaje tylko nieco nadwierzona, w dole ściśle są one z metalem spojone, zabezpieczając go tym sposobem od dalszego wpływu kwasów.

Spostrzeżenia te są bardzo ważne dla przemysłu wyrobów z aluminium, dają bowiem wskazówkę: w jaki sposób możnaby naczynia z tego metalu uczynić trwałszymi? Dotychczas wiadomo tylko, że cenna owa zabezpieczająca emalia tworzy się sama podczas gotowania potraw, i że należy ją ochraniać i z naczyń jej nie usuwać.—Jeśli uda się wynaleźć sposób, aby sztucznie ową powłoką pokrywać aluminiowe naczynia i utrzymywać ją na nich, wówczas wszystkie zarzuty upadną.

Co do czyszczenia naczyń aluminiowych, okazało się, że przy każdym znanym sposobie ponosi się stosunkowo znaczną stratę w materyale; bardzo ostrożnie należy je myć w ciepłej wodzie z sodą, a najlepszym środkiem jest poprostu czysta gorąca woda.

Próby odbywane z łyżkami aluminiowymi dowiodły, że są one trochę mniej trwałe, niż platerowane, lecz lepsze od t. z. „z nowego srebra.“

Pod względem ekonomicznym należy jeszcze zwrócić uwagę na okoliczność, że po zupełnym zniszczeniu naczynia z aluminium nie traci ono całkowicie swej wartości, jak np. wyroby z żelaza, lecz, tak samo jak miedź, zawartość metalu przez fabryki przyjętą być może.

Nie można dziś jeszcze stanowczo twierdzić, aby „srebro z gliny“ było właściwym metalem „na naczynia kuchenne przyszłości.“ Błyszczący metal, wytrzymujący żar elektryczny, przejść jeszcze musi, jak każda nowość, przez próbny ogień praktycznego życia. Zarzut własności trujących upadł zupełnie; pod względem trwałości zdania ludzi pojmujących rzecz korzystniej się odzywają, niż przed kilkoma laty. Lecz czy właściwym jest aluminium dla domowego gospodarstwa? To pytanie w żadnym laboratorium rozstrzygnąć się nie da. Chemicy i higienicy wypowiedzieli już swe zdanie; reszta należy do kobiety — gospodyni domu.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się **Zuch dziewczyna**, przez autorkę powieści „Lady Verner“, przekład z angielskiego, ark. 9-ty.

**TREŚĆ:** Wpływ kobiety na zdrowie społeczeństwa, przez M. I. — Bez woli, powieść przez Wandę Grot Bęczkowską (dalszy ciąg). — Ruch muzyczny, przez Jana Kleczyńskiego. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili. — Nowe zastosowanie „metalny przyszłość.“

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 9-ty T. I, **Zuch dziewczyna**, przez autorkę powieści Lady Verner, przekład z angielskiego.—40 wzorów i robót z opisem. **Sekrety gospodarskie.**—Dyspozyca stołu.